

ORLĘTA



MIESIĘCZNY DODATEK DLA CHŁOPCÓW

Nr. 1 8.X.33

SKĄD SIĘ WZIĘŁY ORLĘTA

Nazywacie się poprostu „Orlętami". Brzmi to nietylko pięknie ale także i... wojowniczo. Pewnie niejednemu z Was przypomniały się drapieżne orły górskie, albo nawet ten legendarny orzeł biały, co to pod Gnieznem obrał sobie siedzibę i przez Lecha za godło Państwa Polskiego obrany został. Można w ten sposób tę nazwę tłumaczyć, bo przecież każdy Polak powinien być orłem - wojownikiem, obywatelem - żołnierzem, a Wy — młodzież — orlętami sposobiącemi się do walki o rozwój i potęgę Polski...

Jest jednak bliższa — niemal jeszcze ciepła — kolebka Waszego rodu. Tą kolebką są orlęta lwowskie, młodzi bohaterzy — żołnierze z walk w obronie Lwowa. Słyszeliście już może nawet o nich, bo to przecie tak niedawno było. Zaledwie piętnaście lat temu. Polska budziła się dopiero do życia, by lada dzień przepędzić zaborców. Wtem zupełnie niespodziewanie, 1-go listopada 1918 r. Ukraińcy napadli i zajęli Lwów — strażnicę naszych ziem kresowych. Wojska polskiego jeszcze nie było, zaczęło się dopiero tworzyć, o pomocy z zewnątrz nie było mowy.

I oto w tym momencie — zdawało się — zupełnie beznadziejnym, Lwów zrywa się do obrony. Ktokolwiek żył i czuł polskie serce bił się albo pomagał walczącym. Poszli na bój dorośli, poszli i młodzi, nawet i ci, co to zaledwie odrośli od ziemi, brzdące i bąki... wymykali się chyłkiem z domu i stawali się żołnierzami. Do niedawna jeszcze niejeden z nich bał się może ciemnego pokoju, albo bawił się ołowianemi żołnierzami — aż tu naraz zapominał o wszystkiem i pierwszy rwał się do szeregu. Zdarzało się, że niejednego z nich z powodu zbyt młodego wieku, lub wątłej postaci — przydzielano do „wojska kartoflanego", ale wtedy tak kombinowali i majstrowali, że wreszcie zdobywali karabin lub rewolwer i podstępem na front się dostawali.

Początkowo prawie gołemi rękami, potem karabinem, znacznie wyższym od siebie, zdobywali kulomioty, samochody, armaty i amunicję. Zadziwiali i porywali dorosłych ci jedenasto - dwunasto - trzynastoletni bohaterowie. Ci zaś, co z braku butów lub broni — zima przecież była — na front się nie dostali, pełnili służbę wywiadowczą lub wartowniczą. „Jeśli padł gdzieś niedaleko pocisk — pisze A. Schroeder w przepięknej książce, poświęconej tym bohaterom, p. t. „Orlęta" — jeden z drugim mikrus odwracał głowę i spluwał lekceważąco. Najmłodsi najgorliwiej i z największą „pogardą śmierci".

Tacy już byli twardzi i nieustępliwi, że zwyciężali samych siebie, płacz matek i siłę wroga. „Jaki był system obrony, ile w tem było szaleńczej odwagi, pogardy śmierci, sprytu i dowcipu, dużoby o tem pisać. To jest faktem, że walki w zdobywanych miastach Serbji, Belgji czy Francji nie obfitowały w takie epizody". To wszystko, cośmy o tych miastach czytali, jest blade wobec tego, na co patrzył wówczas — przed piętnastu laty — Lwów, tembardziej, że dokonywały tego prawie dzieci.

Orlętami ich za to nazwano, bo jak drapieżne orlęta wprost pazurami gniazda swojego bronili. Jako „orlęta lwowskie" przeszli do historji na chwałę młodzieży polskiej. A teraz wy, młodzi — wychowani już od kolebki w wolnej, niepodległej Polsce — chcecie się nazywać orlętami. Pięknie to z waszej strony, ale pamiętajcie, że „orlęta" to nie byle jaka nazwa. To nazwa, uświęcona serdeczną krwią tych najmłodszych obywateli - żołnierzy powstającej Polski. Szanujcie więc swą nazwę i pamiętajcie zawsze, że ród swój wywodzicie z pośród bohaterów.

Odrzućcie więc od siebie kłótnie i swary dzieciństwa i — zapatrzeni w tych młodych patronów swoich — zdobywajcie życie i świat gołemi rękami, pazurami, tak jak oni Lwów zdobywali. Bądźcie ofiarni, wielcy duchem, nieustępliwi wobec swych nałogów i zachcianek, zawsze wierni Polsce. Patrzcie bystro i śmiało wokół siebie, bo czasy są niezmiernie ciekawe. Bądźcie także górskiemi orlętami...

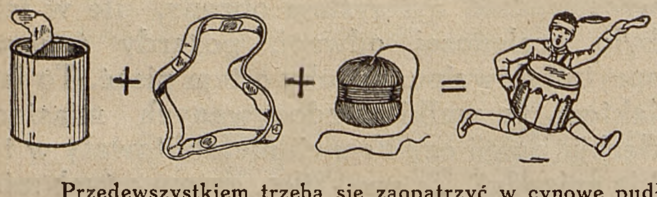


Orlęta poznańskie dają sobie same radę, nawet gdy ktoś stłucze sobie kolano.

KTO TO ZROBI

ORLĘTA ROBIĄ BĘBEN.

Morowa gromada „Orląt" nie może się obejść bez prawdziwego bębna, który łatwo zrobić, tanim kosztem i nawet bez... oślej skóry.



Przedewszystkiem trzeba się zaopatrzyć w cynowe pudło (np. z cukierków) lub blaszankę o pojemności mniej więcej 4-ch kart. Brzegi otwartego dna wygładza się starannie.

Teraz musi się wydębić od szofera znajomego, lub odkupić w garażu za złotówkę starą kiszkę. Może być połatana, byle nie była zleżała, bo zaraz potrzaska. Kiszkę rozcina się i rozpościera na ziemi, a potem przykłada się do niej otworem puszkę i wycina koło w odległości mniej więcej 6—8 cm. od obwodu puszki. Około 3 cm. od obwodu tego gumowego koła wybija się kilka dziurek, a położywszy gumę na otwór puszki, naciąga się ją silnie i umocowuje do dna mocno wyciągniętemi, solidnemi sznurkami.

Żeby było wszystko jak należy, trzeba jeszcze trzymadła, którem dałoby się przewiesić bęben na ramiona. Robi się je z sznura (lub lepiej pasa, gurtu) mniej więcej trzy razy tak długiego, jak długą jest puszka. Jednym jego końcem obwiązuje się dół puszki około 15 cm. ponad dnem, drugim obwiązuje się część pokrytą gumą. Silne obciągnięcie puszki w pobliżu dna i wierzchołka potrzebne jest na to, aby sznurki, przytrzymujące gumę, nie oberwały jej. Odcinek sznura, który przebiega wzdłuż puszki, musi od niej odstawać tak, by się dało przez niego wsunąć rękę. Wreszcie końce sznura związuje się ze sobą i, hip hip! hurra! bęben gotów.



Jeszcze pałki. Najlepsze do tego są kije brzozowe. Koniec pałeczki owija się włóczką dopóki aż zrobi się spory guz, którego koniec obwiązuje się na krzyż dwoma tasiemkami o szerokości około centymetra. U podstawy guza przywiązuje się końce tasiemek sznurkiem i całość obciąga się jelonkową skórką (ze starej rękawiczki) lub kawałkiem irchy, a drzewce pałki pięknie się maluje lub rzeźbi. Jeśli chcecie większą pałkę, to zamiast sznurka można użyć gazy, lub bandaża. A teraz, kiedy już bęben gotowy, dalej na wycieczkę! Tylko spieszcie się, bo zima za pasem. (W/g. „Na Tropie").

TAKA SOBIE HISTORJA ZAPAŁEK

Zapytałem się raz chłopców — skąd się bierze ogień? Powiedzieli mi, że trzeba zapalić drzewo od zapałki. No dobrze — powiadam im — a skąd się biorą zapałki? I znowu odpowiedzieli mi, że z fabryki zapałek. Chciałem ich jeszcze zapytać skąd się wzięła fabryka zapałek, kto, i jak dawno ją wynalazł, ale po minach już widziałem, że mają dość tych pytań, więc sam zacząłem opowiadać im historję zapałki.

Niby to drobna rzecz ale dość ciekawa. Tem ciekawsza, że o rzeczach, które nas otaczają i których codziennie używamy, wiemy bardzo mało. Zdziwicie się więc zapewne, — gdy wam powiem, że zapałki wynaleziono zupełnie niedawno. Zaledwie sto lat temu. Dawniej, dawniej do zapalania używali ludzie krzesiwa i hubki. Wprawdzie już w drugiej połowie 17-go stulecia wynaleziono coś w rodzaju zapałek, ale były to tylko drobne kawałki fosforu, które trzeba było tak długo tłuc kamieniem, aż się zapaliły. Było to jednak uciążliwe i niebezpieczne a przytem dawało brzydki i szkodliwy zapach.

Dopiero w roku 1827 drogista (aptekarz) angielski wynalazł właściwą zapałkę, a w roku 1833 powstała pierwsza fabryka zapałek. Warto więc przypomnieć, że tego roku obchodzimy stulecie pierwszej fabryki zapałek. Nie bylejaki to jubileusz, bo przecie zapałki ogromnie ułatwiają życie.

Oczywiście jeszcze i te zapałki, fabrykowane sto lat temu różniły się od dzisiejszych, bo zrobione były z fosforu. Były więc trujące i zbyt łatwo zapalne, tak, że przy lada uderzeniu lub nacisku zapalały się i wybuchały, powodując pożar. Każda taka



Patrzcie, jak ładnie defilują orlęta wileńskie.



Ćwiczenia w podchodzeniu organizacji małych hitlerowców.

zapałka to była mała bomba! Po zapaleniu się pozostawiała przykry swąd siarki i fosforu.

Wreszcie mniej-więcej sześćdziesiąt lat temu, pojawiły się nieszkodliwe zapałki szwedzkie, których obecnie używamy. W główkach ich niema już ani siarki ani fosforu. Widzicie więc, że historja ich jest bardzo młoda. Prawdopodobnie jeszcze i na tych zapałkach sprawa się nie zakończy, i za lat kilkadziesiąt używać będziemy jeszcze praktyczniejszych, tańszych i zupełnie nieszkodliwych zapałek, bo człowiek jest nieustannym zdobywcą tajemnic świata.

BĘDZIEMY SIĘ BAWIĆ

1. PODRÓŻ DO KRAKOWA.

Gromada tworzy koło, oprócz jednego, który ma być „podróżnym". Każdy kreśli dla siebie koło o średnicy 1 metra.



Mali japończycy marzą o tem, by kiedyś reprezentować swój kraj na olimpjadzie sportowej.

Na sygnał podróżny chodzi między stojącymi i mówi: „Jadę do Krakowa i zabieram ciebie". Wezwany idzie za nim. Kiedy już zabrał wszystkich, wtedy przebiega z nimi boisko i wpewnym momencie woła: „Kraków". Każde z „orląt" stara się zająć jakieś koło. I znowu podróżnym zostaje „Orlę" bez koła.

To samo można zrobić w świetlicy, koła zastępuje się krzesłami.

2. CO ZMIENIONO NA ŚCIANIE.

Orlęta mają polecone uważnie przyjrzeć się ścianie świetlicy, na której wiszą różne rzeczy. Następnie wszyscy wychodzą na korytarz a przodownik przewiesza obrazy. Chłopcy przez minutę obserwują ścianę, poczem każdy z nich zapisuje lub mówi po cichu przodownikowi jakie zauważył zmiany. Wygrywa ten kto zauważył najwięcej zmian.

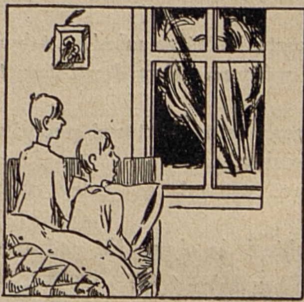
Historja obrony Lwowa



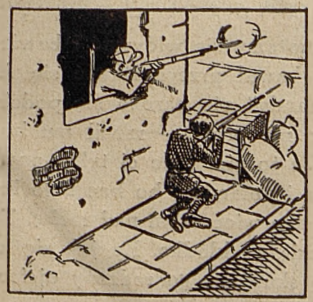
1. Było to...



2. Ukraińcy...



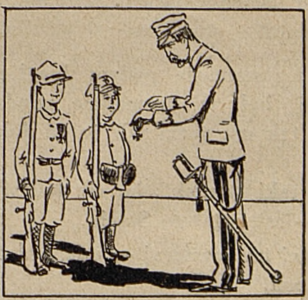
3. Granaty budzą...



4. Najmłodsi...



5. Wróg ucieka....



6. Naczelny Wódz...

Według powyższych obrazków należy uzupełnić każde rozpoczęte pod obrazkami zdanie w sposób zwięzły i ściśle odpowiadający treści obrazka. Za najlepsze uzupełnienie historji obrony Lwowa wyznacza się nagrodę w postaci książki Z. Zawiszanki p. t. „Świt wielkiego dnia", która opowiada o dzieciństwie i młodości Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Rozwiązania „Historji obrony Lwowa" nadsyłać należy do 28.X. 33 r.

ZDOBYWCY ŚWIATA

I. ZACZĘŁO SIĘ OD BĘBNA.

Wszystko było dobrze, dopóki nie było tego bębna. Po południu, wieczorem, jak komu było wygodniej, zbierała się nasza czwórka u Franka Ślusarczyka na Wygodzie i całemi godzinami używała sobie na huśtawce. Przychodził więc Stach Kowalski, któremu każdy ustępował, bo zaraz on od „szczeniaków" wymyślał i do bitki się brał, choć miał dopiero dwunasty rok i Wicek od sklepikarza z cukierkami w kieszeni, któremi częstował ich za to, że go do siebie dopuszczali i Antek, z którym matka nigdy nie mogła sobie dać rady, bo ciągle „gonił światami" i świecił gołemi dziurami i Felek, syn kominiarza, z tego powodu kominiarczykiem zwany i Adaś, mamin synek, chociaż — jak się później okazało — także zuch nielada.

Zbierało się całe to bractwo u Franka Ślusarczyka, bo to i najwygodniej było u niego na obszernem podwórzu i prawdziwa huśtawka tam stała, co to mu ją ojciec-ślusarz, ze swoimi pomocnikami zmajstrował.

Najrzadziej zaglądał Adaś, choć go wszyscy lubili za to, że różne ciekawe rzeczy przynosił i przeróżne historje opowiadał. Wpadał tylko czasami — jak po ogień — i za chwilę zmykał, bo zaraz — jak echo — goniło za nim wołanie mamusi:

— Adaś! Adasiu! Gdzie jesteś? Wracaj do domu!

Cóż było robić, trzeba było wracać co prędzej, bo każde takie wołanie bolało go silniej, aniżeli nawet uderzenie. W domu zaczynało się ciągle jedno i to samo.

— Że ty nie możesz chwilkę usiedzieć! Ciągle tylko patrzysz za tymi chłopakami. Nie masz już nic do roboty?

— Wszystko już zrobiłem. Chciałem się trochę z nimi zabawić.

— To baw się w domu. Mało masz książek i zabawek?

— Nawet za dużo mam tego wszystkiego. Wolałbym trochę swobody, tak jak ją ma Stach, Wicek albo Felek.

— Patrzcie go! Co to za mądrala! Będzie mi tu filozofował. Jak dorośniesz to będziesz miał swobodę, będziesz mógł robić co ci się żywnie podoba. A ten Stach, czy Wicek albo Felek — to nie dla ciebie towarzystwo!

— To i cóż — wtrącił nieśmiało Adaś — przecież razem z nimi do szkoły chodzę.

— Szkoła to co innego. Zresztą jesteś za młody, żebym się z tobą w takie rozmowy miała wdawać. Gdy dorośniesz to zrozumiesz.

Adaś westchnął ciężko i poraz setny i któryś pomyślał sobie: „Kiedy ja wreszcie będę dorosłym"...

Z głębokiej i smutnej zadumy wyrwał go ostry świst gwizdka.

Zerwał się więc szybko i pobiegł do okna. Na podwórzu u Franka stali już wszyscy koledzy i, otoczywszy Stacha, coś głośna wykrzykiwali. W pewnej chwili zobaczył go Franek, złożył ręce w trąbkę i zawołał:

— Hallo! Adasiu! Chodź-no tutaj. Zobaczysz jaki Stach przyniósł bęben!

— Zaczekajcie! Już lecę!

Zapomniał o całej rozmowie z mamusią, pędem zbiegł po schodach i w parę sekund później był w gromadzie, między chłopcami. Na przywitanie Felek tak mu gwizdnął, że aż Adaś z przerażeniem odskoczył.

— Ty Felek! Nie bądź-no taki „Antek", bo cię tak wymaluję, że jak z procy wylecisz — ostrzegał go Stach.

— Tylko sobie Antkami ludzi nie wycieraj — odezwał się Antek, cofając się przezornie na bok.

— No! no! Dajcie spokój. Lepiej pokażcie mi ten bęben. Cóż to za rarystas?

— Zwyczajne pudło z landrynek — odezwał się z przekąsem Wicek — niema się czem chwalić.

— Jakici to rak przemądrzały! Myśli, że jak farbowanych cukierków z handelku przyniesie, to mu już wszystko wolno! Zwyczajne pudło...

— W każdym razie mój ojciec — wtrącił jeszcze Franek — zrobiłby coś lepszego...

— Wszystko to dobrze — odezwał się Adaś oglądając bęben — ale spróbujcie go zrobić sami!

— A co, nie mówiłem, że Adaś to mądry chłop! — zawołał zadowolony Stach. — Ale was usadził! „Spróbujcie go zrobić sami"!

— Nie wiecie może o tem, że wszystkie wielkie wynalazki, jakie dziś mamy, zaczynały się od zwykłego majstrowania i wynajdywania pozornie prostych rzeczy — tłumaczył im Adaś. — Przy jakiejś okazji przyniosę wam bardzo ciekawą książkę z ilustracjami, w której ten autor dowodzi, że cała dzisiejsza technika jest niczem innem jak tylko spotęgowaniem ręki, nogi, ucha, oka a nawet nosa, bo do wszystkiego trzeba mieć nos...

— No Stachowi to Pan Bóg nosa nie poskąpił — zażartował któryś z chłopców.

— Żebym ci twojego nosa nie utarł — odciął się Stach.

— Zamiast sobie przygadywać, zapytajcie lepiej Stacha jak on go zrobił. Rozumie się nie nos.

— Wziąłem poprostu blaszane pudełko z cukierków.. Zresztą co was będę bujał. W naszej czytelni szkolnej jest takie pismo młodzieży p. t. Na Tropie i tam przeczytałem szczegółowy opis, według którego zrobiłem bęben.

— A teraz po kolei spróbujmy — zawołał Adaś.

Na podwórzu zaczęło się przeraźliwe bębnienie, a co jeden to głośniej walił, chcąc go wypróbować. Nawet Burek, przyzwyczajony do hałasów, zerwał się, nastroszył szerść i począł tak głośno ujadać, że zrobił się piekielny harmider na całą Wygodę. Tego już wszystkim było za dużo. Pierwszy wypadł ojciec Franka z warsztatu i jak stał przy kowadle z obcęgami, zawołał groźnie na chłopców.

— Cóż wy sobie myślicie — łobuzy! — że w lesie jesteście, jak tylko którego złapię, to mu zaraz język wyrwę temi obcęgami. Tylko niech mi się tu jeszcze który pokaże. A ty Franek szoruj do domu!

W jednej chwili chłopcy zmietli jak wróble z podwórza. Aż się za nimi kurzyło.

— A to banda smarkaczy! — krzyknął ktoś za nimi — że też to tego nikt nie upilnuje.

Tymczasem nasi chłopcy wypadli już na pola i zatrzymali się nad strumykiem, z którym graniczyła już wieś Podlesie.

— Wiecie co! Powiem wam coś — odezwał się Stach — skoro nas już „bandą" przezywają, to zróbmy sobie taką porządną „bandę". Jak banda to banda! To znów nie taka straszna rzecz.

— Przecież i bez tego możemy się widywać i bawić razem, nie trzeba bandy — próbował przeciwstawić się Adaś, któremu jakoś samo słowo „banda" nie bardzo się podobało.

— Do bandy się nikogo nie prosi — rzucił mu krótko Stach. — Chcesz to dobrze. Nie to nie. Tyle ci tylko powiem, że w bandzie musi być władza i porządek, bo bez tego bandy niema. Chcecie to przyjdźcie jutro wieczorem nad rzekę. Tylko trzymać język za zębami i buzię na kłódkę. Bo jak się który wygada to mu tak morduchnę skuję, że go rodzony ojciec nie pozna.

A teraz chodźmy do domu. c. d. n.